Łupkoentuzjaści

19 października 2011

Podczas tegorocznej kampanii wyborczej działo się niewiele, a podobieństwo retoryki największych partii raziło nawet niezbyt zainteresowanych polityką obserwatorów, potęgując wrażenie bezalternatywności obecnego stanu rzeczy. Charakterystyczne, że bodaj największa zgoda panowała w kwestii potencjalnie najbardziej kontrowersyjnej: planów eksploatacji gazu łupkowego. Polityczny konsens odzwierciedla zresztą nastroje społeczne: 73% obywateli naszego kraju popiera wydobywanie gazu z łupków z polskich złóż, które ocenia się jako największe w Europie. Trudno się dziwić takim wynikom sondaży, bo przecież zachwalana od kilkunastu miesięcy przez media, ekspertów i rząd wizja łupkowego eldorada, która ma zapewnić Polsce ogromne zyski i tak pożądaną niezależność od dostaw gazu ze wschodu nie spotkała się praktycznie z żadną poważniejszą krytyką. Gorzej, nie towarzyszyła jej też żadna autentyczna debata. Nie można za taką uznać serii tekstów negujących zagrożenia zawiązane z eksploatacją gazu łupkowego przy jednoczesnym braku publikacji owe zagrożenia artykułujących.

Wśród zalewu gromkich obietnic hipotetycznych korzyści umknęły jakoś realne doświadczenia krajów, które rozpoczęły eksploatację złóż łupków wiele lat temu. Optymizmu łupkoentuzjastów nie popsuł zatem ani wprowadzony właśnie zakaz wydobycia gazu łupkowego we Francji, ani przedłużenie moratorium obowiązującego w amerykańskim stanie Nowy Jork, ani rosnący w Kanadzie opór przed łupkowym przemysłem, a szczególnie przed najniebezpieczniejszą metodą szczelinowania hydraulicznego, która ma być stosowana w Polsce. W marcu br. Quebek wprowadził moratorium na stosowanie szczelinowania. Okazuje się, że szkody społeczne i ekologiczne wywołane pozyskiwaniem gazu z łupków są tak wielkie, iż podważają opłacalność przedsięwzięcia. Ciekawe, że naszym gazetowym

ekspertom, politykom i zawsze podejrzliwym dziennikarzom tym razem nie postała w głowie myśl jakoby, podobnie jak w przypadku energetyki atomowej, Polska miała zacząć rozwijać sektor energetyki, od którego na Zachodzie właśnie się odchodzi.

Tymczasem dekoniunktura na łupki sprawia, że zaangażowane w nich przedsiębiorstwa z USA, Kanady czy Francji gorączkowo szukają miejsc, w których mogłyby kontynuować swój kontrowersyjny proceder, w bardziej przyjaznych warunkach, w których nie krępowałaby ich kontrola opinii publicznej i przepisy ekologiczne. Wszystko wskazuje na to, że już je znalazły.

W atmosferze ogólnego entuzjazmu w sejmie opracowano projekt nowego prawa geologicznego i górniczego, którego zapisy mają fundamentalne znaczenie dla kształtu przyszłej polityki energetycznej Polski, w tym szczególnie łupkowej. Choć w atmosferze ogólnego zachwytu łupkami projekt nie wzbudził żadnych większych kontrowersji, to jego treść pozostaje kuriozalna. Zamiast sprzedaży koncesji w trybie handlowym, nowe przepisy pozwalają na faktyczne przekazywanie praw do badań i eksploatacji złóż za zaledwie 1% ich wartości (nie przewidziano organizacji przetargów ani konsultacji z lokalnymi władzami), a zarazem pozwalają uczynić uzyskaną w ten sposób koncesję przedmiotem spekulacji. Prywatne korporacje mają pełne prawo zacierać ręce, wszak dostają od państwa prezent, na którym będą mogły potem zarabiać krocie – przede wszystkim kosztem tego samego państwa, które przecież zapłaci za dostawy gazu wedle jak najbardziej komercyjnych zasad. Nie mniej obiecująco wygląda wizja handlu koncesjami między firmami, które je uzyskają. Najnowsza historia gospodarcza pokazuje wyraźnie, że na bańkach spekulacyjnych zarabia się szybciej i więcej. I nawet tak przywiązany do retoryki energetycznej suwerenności PiS nie widzi w tym żadnego problemu. W kolejce do koncesji nie ma koncernów ze wschodu, a tylko takie budzą grozę ludzi prezesa Kaczyńskiego

(i dodajmy całej klasy politycznej) jako podważające bezpieczeństwo energetyczne i w ogóle bezpieczeństwo oraz suwerenność Polski.

Tymczasem kandydaci do przejmowania polskich złóż prezentują się imponująco. Znajdziemy wśród nich prawdziwych gigantów energetycznych, których dokonania w różnych krajach od lat są dobrze znane. Takich jak np. Chevron (koncesje w Kraśniku, Frampolu, Zwierzyńcu, Grabowcu), amerykański koncern, w którym dyrektorowała Condoleezza Rice skazany w lutym br. przez ekwadorski sąd na zapłacenie wielomiliardowych odszkodowań 30 tys. osób poszkodowanych w wyniku rabunkowej eksploatacji ropy naftowej w regionie Oriente (w latach 1964-1992). Wraz z francuskim Totalem, także posiadającym już koncesje w Polsce, Chevron zarobił 431 mln dol. na projekcie Yadana, realizowanym w obłożonej międzynarodowymi sankcjami Birmie. Total zgarnął tam podobną sumę.

Z kolei kanadyjski Talisman Energy (koncesje w okolicach Braniewa, Gdańska, Brodnicy) w latach 1998-2000 wydobywał ropę w ogarniętych wojną regionach Sudanu, dzieląc się zyskami z reżimem prezydenta Omara Al-Baszira. Obecnie spółka ta uwikłana jest w konflikt z peruwiańskim ludem Achuar, sprzeciwiającym się niszczącej eksploatacji ropy na należących do niego obszarach.

Tych kilka przykładów z długiego dossier posiadaczy koncesji na wydobycie gazu łupkowego w Polsce nie wzbudziło dotąd obiekcji głównych mediów i naszej klasy politycznej. Ale to akurat nie powinno zaskakiwać. Przecież Polska znana jest z zamiłowania do liberalizmu – zarówno w kwestii ochrony środowiska, jak i przestrzegania praw człowieka.

Autor: Przemysław Wielgosz
Źródło: Le Monde diplomatique